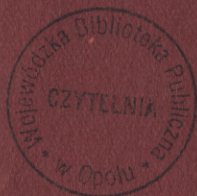


ORLETA

OTO TWA PIEŚŃ!

Przeciwstawiaj się hardo, namiętnie, zuchwale,
Oko w oko ciemnemu losowi czy skale,
Naporowi odporem, pierś pierśią nagą,
Niewierze swoją wiarę, lękowi odwagą,
Ospalości parywem, ciągle, nieznużenie!

Leop. Staff



Mal. W. Kossak

„Zwyciężyliśmy”

Dwutygodnik
ilustrowany

ORLETA

dla młodzieży
polskiej

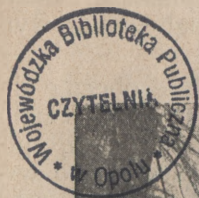
NUMER 6.



KATOWICE, DN. 1-GO CZERWCA 1927 R.



ROK I.



Najmilszą Bogu modliłwą jest ukochanie wolności.

R. Mickiewicz

Kolekcja
Emila Kornasia



Modrzew polski na górze Chełmowej pod Nową Słupią.

JÓZEF ZAŁĘSKI

MODRZEW POLSKI NA GÓRZE CHEŁMOWEJ POD NOWĄ SŁUPIĄ.

Na prastarych górach środkowej Polski, znanych pod nazwą gór *Świętokrzyskich* albo raczej *Łysych*, w ich łukowato ku północy wygiętych fałdach a równoległych do siebie tam, gdzie Czarna Nida i Kamienna biorą nurty swych wód kryształowych — rozciąga się pełna głębokiego majestatu *puszcza jodłowa*.

Bogactwa wszelkiego rodzaju jest w puszczy wiele.

Rozrosłe, w potęgę swojej przeogromnej, pnie drzew wiekowych, sieją w duszy wędrowca ciszę i pokorę. Człowiek zabłąkany w ich ciemne ostępy czuje, iż znalazł serdecznych przyjaciół, wśród których pokrzepieniem serce swe napoi, a troski gnijące, zapowietrzone wyciągnie z zakątków zbolalej duszy i rozłoży je na zielonej murawie ku słońcu, co się złotemi plamami ścieli po kwiecistych polanach.

Wokół szumi puszcza, a pod jej szeroko rozpostartemi konarami rozsiadła się gromada karłowatych mieszkańców, z pośród których wybija się *bez koralowy*, a runo leśne kryje bryły i złomy kwarcytu to gęstszym, to rzadszym kobiercem. Znajdziesz w tym podszyciu leśnem jasnozielone plamy *śledziennicy okółkowej*, biełający od spodu swych liści *lepiężnik mały*, szeroko rozkładające swe palczaste liście *żywece*; zaś pod głazami czają się rozłożysto-listowiowe *paprocie*.

Ale ileż to mniejszych a dostojnych mieszkańców puszczy jodłowej, znajdziesz w nizinach wokół źródeł i strumieni, — które to giną pod ziemią, to wydostają się znowu na powierzchnię, z cichym po niżej spływając na dół szmerem, — przepysznie po wyrębach się rozrastających, wśród których wznosi wysoko w górę swe żółte kwiatostany *starzec gładkolistny*, ujęty u podstawy wraz z poprzednikami przez zastępy *mchów*.

Wśród tego potopu roślinności szczególną uwagę zwraca *bór modrzewiowy*.

Brzegi boru modrzewiowego, który się rozsiadł na lóssem krytych przestrzeniach góry Chełmowej — stroi *orlica* wraz dzie-

siatkami towarzyszy tworząc, gęste i miękkie posłanie jakby wspaniałe i barwne dywan, który się obwinał wokół wyniosłych modrzewi.

Modrzew jest w Polsce obecnie drzewem nader rzadkim, a na górze Chełmowej jest jedynym stanowiskiem, gdzie modrzew tworzy duże, czyste, nad wyraz piękne drzewostawy. Są to już resztki tych wielkich borów modrzewiowych, które zajmowały swego czasu 45.000 morgów w województwie Sandomierskiem.

Drzewa tu są wiekowe, a czasem olbrzymy liczące sobie mamutowe lata. Obwód pnia, takiego kolosa, czterech ludzi z trudnością objąć może; wiele z nich dochodzi do 35 metrów wysokości przy 1 metrze średnicy.

Pod okapem, tych świadków prastarych historyj, ich wiotkich pod szum wiatru świszczących gałęzi, miejscami tylko *jałowiec* porasta, miejscami zaś i gęsta młodzież modrzewiowa, która jednak słabo się udaje, pomimo pieczy, jaką ją człowiek otacza; zaś runo tylko leśne na wiosnę żółci się i krasi ich podcienia.

Prof. Raciborski w swoich słynnych badaniach wykazał, iż modrzew w górach Świętokrzyskich jest odrębny i różni się od modrzewia Alp, Tyrolu i Delfinatu zarówno wzrostem, jak i więcej stożkowatą koroną, której gałęzie są cieńsze i sterczą bardziej ku górze, niż u *modrzewi alpejskich*, a szyszki jego budową łusek raz przypominają *modrzew syberyjski* to znów *modrzew dawurski*, lub wreszcie *modrzew europejski*.

Dla tej znacznej powyższej odrębności charakteru modrzewia naszego, prof. Raciborski nazwał go *modrzewiem polskim*.

Z tych to olbrzymów budowano u nas dworki, a szczególnie kościółki, które są nadzwyczaj piękne; przetrwały niektóre z nich kilka wieków, spotyka się je we wszystkich zakątkach Polski.

Na Śląsku kościółki modrzewiowe zajmują niepoślednie miejsce, będziemy często wspominali o nich w następnych numerach.

BAŚŃ TATRZAŃSKA O KRÓLU WĘŻÓW.

Ciąg dalszy (5).

O d tego czasu idąc na ryby i wracając zawsze najregularniej na siodełko zaglądał, ale choć już ścieżkę do paliczki wydeptał, ani rady jej podnieść. Po roku do wielkiej siły przyszedł, kłoce mógł dźwigać, ale osikowej paliczki ani rusz. Myśli sobie: Pewnie tu i największa siła nie pomoże, jeżeli jej nie każą się poruszyć; więc zaczął lilji prosić serdecznie, żeby kazała paliczkę nie upierać się dłużej. Prośby podobały się lilji, bo złote pszczoły wielkimi tłumami brzęczały, ale nie tak łatwo dawała się uprosić. Kłął się Perłowic, że ani grosika ze skarbów króla wężów dla siebie nie zatrzyma, że byle go zwojował, paliczkę w kościele złoży, że się od ludzkich podziękowań ukryje i że w głębi duszy nigdy sobie zwycięstwa nie przysądzi.

Mile lilja tych przyrzeczeń słuchała, ale paliczka jak nieporuszona leżała na Siodełku tak leży, a tu już osiemnaście lat Perłowicowi, parobczak jak lew!

Jednej nocy Perłowic zalany łzami błaga: — Zlituj się nademną liljo biała, powiedz już raz, co mam przyrzec, byle cię paliczka usłuchała? — Pszczoły brzęczą, zapach się rozchodzi, lilja się zjawia i mówi poważnie: „Ożeń się ze mną“. Perłowic przysiąkł z ochotą. Raniutko wybrał się na ryby, jak zwykle z siekierą, z krzesiwem i z rybackimi przyrządami. Zachodzi po drodze na Siodełko, oho! osikowa paliczka lekka jak piórko! Porwał ją z radością, a że pamiętał dobrze rozkaz, żeby nie oglądając się iść w Tatry, więc przeznęgnął się, westchnął do ojca i matki, spuścił się do Dunajca i szedł

zwawo w głąb Pienin, umyśliwszy sobie, że się będzie rzeki trzymał, a ta go zapewne do Tatr doprowadzi i głodu w drodze zaznać nie da, karmiąc go rybą świeżą.

Przebywszy spory kawał drogi znalazł się Perłowic po kilku godzinach ciężkiej drogi na przestronnem miejscu, bo chociaż za Dunajcem okrutne skaliska sterczały, na jego stronie, to jest na prawym brzegu była spora dolinka drzewami zarosła. Droga choć równiejsza bardzo była trudna, bo gąszcze nad rzeką były wielkie; prawie wciąż przychodziło iść łozyskiem.

Niespokojność nie raz napadała Perłowica w tych puszczech, gdzie jeszcze żaden człowiek nie postał, ale jak tylko smutek zaczął go napastować, to mu zaraz paliczka strasznie w garści ciążyła. Zmiarkował, że mu banować niewolno, boby gotowa nie dać się unieść w rękę, więc rozmyślał, co to za radość będzie u ludzi, jak on zmoże króla wężów i od śpiących rycerzy cały kraj oswobodzi. Szedł znowu cały dzień, a nopotykał wszędzie, nieprze-



Walery Eljasz R.

...jaka siła cię przywiodła?...

byte gąszcze.

Nad rzeką smreki, ale za smrekami na prawo i na lewo ściany kamienne. Uszedł spory kawał drogi, spojrz na rzekę, a tu chata taka jak szczawnickie; bez komina, dranicami przykryta, stoi socie pod skalami na polanie, a dookoła las świerkowy. Ucieszył się bardzo Perłowic, przez rzekę z trudem przepłynął, bo woda bardzo rwła i stuka paliczką we drzwi zamknięte.

— Kto tam? pyta się cicho jakiś wy-

straszony głos. — Podróżny, otwórz. — Drzwi się otworzyły i patrzy się na Perłowica roztworzywszy z podziwu gębę jakąś bladą, chuda kobiecina. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiada przybyły. — Na wieki wieków — odpowiada kobieta. — Skądś ty chłopcze? — Z Niżniej Szczawnicy, a wy tutaj si? — Ja z Jaworek? A któż to ci tu przyjsz kazał? —

Ja sobie sam kazałem.

Kobieta wystraszyła się strasznie i z cicha szepcze: — Umykaj, pókiś cały, póki się ten nie rozbudzi — i z przestрахem pokazała palcem na zamknięte drzwi, co z czarnej izby, w której rozmawiali, do białej prowadziły.

— Któż to tam taki straszny spi? śmiejąc się spytał Perłowic. — Śmiej się, śmiej głupcze, jak mnie nie posłuchasz, to zobaczysz. — Moja matko, alboż to ja tyle drogi na to zrobiłem, żeby do domu uciekać. — Nie chcesz, to nie uciekaj. Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz. — Któż to jest ten wasz gazda taki straszny?

Kobieta nic nie odpowiedziała, krzątała się milcząc przy kominie, a Perłowic usiadł sobie na ławie, podparł się na pa-

liczce i rozglądał się po izbie.

— Matko, nie powiecie, co to za jeden ten wasz gazda? — Kobieta machnęła ręką niecierpliwie. Perłowicowi znudziło się milczenie; wstał i zaczął stukać do drzwi, co do świetlicy prowadziły. Kobieta ręce z rozpaczą załamała. — Kto tam? — gruby ochrypły głos odezwał się wewnątrz izby. — Podróżny — odpowiedział

Perłowic.

— Kto ci kazał do mnie przyjsz? — Ja sobie sam kazałem. — Sam? — Zasuwa wewnątrz skrzypnęła, drzwi się otworzyły, Perłowic oko wokospotkał się ze średnich ław górale, niewielkim, ale jak niedźwiedź barczystym. Gazda dziwnie jakoś na gościa spoglądał wylupiastymi, zielonemi oczami i uśmiechał się szeroką, obrzmiałą gębą. —

Skądże ty idziesz,

zuchu? — Z Niżniej Szczawnicy. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. — Z daleka się, widzę, do nas wybrałeś, siadaj bracie na ławie. Cóż to cię do nas przywiodło?

Perłowic pomyślał sobie: Aha! Zbój nie chce Pana Boga pochwalić, a głośno rzekł: — Po próżniaka nie szedłbym taki kawał i przez takie czarne puszcze, mam



...kłał się Perłowic, że się od ludzkich podziękowań ukryje...

ja tu w Tatrach swoją sprawę. — Gazda przestał się uśmiechać i bardzo uważnie patrzył na Perłowica, a ten po izbie się rozglądał. Taka była jak wszystkie góralskie białe izby: ławy, łóżko, piec, stół, i nic więcej! Gazda po namyśle rzekł: — Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, poco do króla idziesz i kto cię posyła, przecież wiesz, że inaczej nie mogę cię puścić tędy! — Jeżeli nie możecie, to musicie — rzekł Perłowic — bo ja mam ochotę iść do samego króla.

— To nie nudź, ale powiedz, kto cię posyła i poco? — Powiedziałem już wam, że z własnej woli przycho-dzę. Jeżeli chcecie koniecznie wiedzieć, poco to wam powiem.

Sprzyskrzyło mi się patrzeć na ludzką krzywdę, przycho-dzę tą paliczką wyścigać stąd wszystkie smoki, paczwy, rycerze i samego króla węzów. Rozumiecie?

Gazda nasępił się jak puhacz i mówił powoli: — Żeby kogo stąd wyścigać, to go trzeba wprzód zmocować. Jaka siła cię prowadziła? — Moje własne oczy mnie prowadziły, a własne nogi niosły. — Jakąż ty bronią myślisz ze wszystkimi tatrzańskimi mocami wojować? — Co bądź wezmę w garść, to tem będę bił. Popatrz-

cie jeno, jaki ja siłacz. — Jedną ręką wziął stół i podniósł. Gazda zaśmiał się ochryplym głosem. — Prawda, żeś siłacz. No, no, gotówes wszystkich porozpędzać, naprzód jednak musisz się ze mną poprobować, bo ja tu straż trzymam, jak mnie nie zmożesz, to ani krokiem dalej nie pójdziesz.

— Dobrze, bijmy się — rzekł Perłowic i wstał

z ławy, ściskając w garści paliczkę. — Czeka, zuch, w gorącej wodzie widzę jesteś kąpany, kto-bi się tam bił w izbie, pójdziemy mocować się na polanę, ale wprzód musisz podjeść dobrze bo o głodzie człowiek mdły. Hej, ty ropucho! co tam warzysz na śniadanie? — Barani przodek — odezwał się głos wystraszony z czarnej izby.

— Nastaw

jeszcze czarownicę spory garnek grochu ze spyrką, a nim się śniadanie uwarzy, dawaj placków, słoniny, bryndzy i palenki. Słyszysz?

Kobieta przyniosła, co gazda kazał. Perłowic palenki nie chciał pić, ale jadło wyglodziwszy się w drodze zawijał jak wilk, wesoło z gospodarzem to o tem to o owem rozmawiając. — Jakże ty się siłacz nazywasz? — spytał gazda. — Per-



...jak zacznie paliczką bić, a tu żelazne łuski jak wióry lecą...

łowic. — A wy jak? — Wołoszyn.

Groch był widać późno zbierany, bo się bardzo długo gotował. Prawie o obiadowej porze gazda z gościem skończył śniadanie. Podjedli sobie dobrze i Wołoszyn rzekł: — No bracie chodźmy się teraz bić. — Szedł przodem, a Perłowicz za nim. Wystraszona kobieta w czarnej izbie zdążyła mu szepnąć do ucha: — Umykaj, pókić cały, bo to smok.

Perłowicz zadziwił się, ale rady nie usłuchał, a gdy już na polanie pod skalami stanęli, powiada: — Czemże się wy bronić będziecie, bo u mnie paliczka, a u was w garści niema nic? — Dam ja sobie radę, mówi Wołoszyn i pobiegł co tchu ku skalom. Poły od guni położył na dużym kamieniu, drugim wielkim z wierzchu przycisnął i umyka. Odziewek się nie rozdarł, ale wyciągnął się za Wołoszynem jak ciasto na kilkanaście sągów i w okrutny smoczwy ogon się przemienił. Potem gazda wielkie palce do gęby włożył, jak szarpnie — a tu straszny pysk i kły. Trząsnął palcami — tu szpony. — Podskożył,

a tu już i nóg ludzkich nie ma, tylko zadnie łapy z pazurami, i czołgnie ku Perłowicowi bestja w żelaznej łusce, ogniem buchająca. Smok ani podobny do gazdy, tylko mu te zielone oczy pozostały.

Jak Perłowicz przyskoczy, jak zacznie paliczką bić, a tu żelazne łuski jak wióry lecą i czarna posoka się leje. Smok widzi, że źle, ryknął i umyka, a ten mu na grzbiet, jak na konia siadł i po łbie go wali. Kości trzeszczą, mózg pryska i wyzionęła bezednego ducha potwora. Leży do góry brzuchem, rozdziawiwszy szkaradny pysk.

Perłowicz wrócił się do chaty, żeby się od kucharki to o tem, to o owem rozpytać. Wechodzi do izby, a zapłakana kobieta pyta: — Gdzie smok? — W piekle, a jego sprośne cielsko leży tam na polanie z rozdziawioną japą. Kobieta co tchu bieży, żeby popatrzeć, aż tu w jej oczach smoczy trup w straszną skałę się przemienia, co ją do dziś dnia ludzie Wołoszynem nazywają. Kobieta przeżegnała się, wbiegła do izby, porwała swoje szmaty, wybiegła przed chatę i umknęła. d. n.



HELENA WITKOWSKA

ZABAWA W RZECZPOSPOLITĘ.

W Szwajcarii, na przedmieściu Genewy, dyrektor Filip Prirat wprowadził do szkoły swej ulubioną przez chłopców zabawę w Rzeczpospolitą. Zaczęło się od tego, że dla zachęcenia dzieci do robót ręcznych, urządzono w szkole kilka sklepów, w których uczniowie wystawiali i sprzedawali sobie wzajemnie własne wyroby: stolarskie, koszykarskie, kartonowe, gliniane i t. p. Jednocześnie rozdzielono między nich określoną ilość pieniędzy wyciętych z kartonu.

Materiałów do robót dostarczał sklep opatrzony napisem „Generalny dostawca”. Bawiono się doskonale, wymieniając wyroby, powstawały coraz nowe warsztaty i nowe sklepy. Sporządzano przedmioty użyteczne, jak: czapki, piórniki, zeszyty, malowano karty pocztowe, założono drukarnię, introligatornię, bank i kasę oszczędności. W określonych terminach uczniowie wypowiadali się w sprawie *wyboru przyszłego zawodu*, budowali warsztaty, zakładali sklepy, odpowiadające ich zdolnościom i upodobaniom; mogli oni powiększyć swe fundusze pilnością i pracą, bo wypłacano im po jednym franku kartonowym za każdą dobrą notę otrzymaną przy egzaminach. Gra z biegiem czasu stawała się coraz bardziej zajmującą i urozmaiconą, zawiązywały się między kolegami różnorodne stosunki, organizowały się spółki i stowarzyszenia wzajemnej pomocy.

W zbiorowej pracy i zabawie zdarzały się nieraz różne nadużycia, zakradał czasem nieład, okazało się koniecznem powołanie *władzy* dla utrzymania porządku. Ustanowiono *radę gminną* i wybrano *wójta*, który zorganizował policję i pocztę. Rada nadała nazwy i opatrzyła liczbami poszczególne dzielnice terytorjum szkolnego, nałożyła na wszystkich *podatki* dla zaopatrzenia wspólnego skarbcza. Ucznio-

wie, jako obywatele gminy, płacili podatki w stosunku do swoich dochodów, wnosili opłaty od warsztatów i sklepów. Na rozkaz wójta dokonano spisu obywateli gminy, którą zaczęto nazywać *Rzeczpospolitą szkolną*. Rozwijala się ona szybko i pomyślnie, pojawiło się czasopismo, biuro pośrednictwa pracy i reklamy wyrobów. Ukazanie się pierwszego numeru pisma szkolnego wywołało tak chałasiwą radość, że wójt zmuszony był nakazać urzędnika, który głosem donośnym zawiadamiał obywateli o rozporządzeniach władzy i ważniejszych wypadkach zaszłych w społeczności. W piśmie przejawiały się różne poglądy i mniemania uczniów, krytyka opieszalych lub niezdolnych urzędników, co oddziaływało nieraz dodatnio na ich poprawę.

Zczasem zaszła potrzeba wezwania dziewcząt do pomocy w zyciu, z którym to chłopcy nie mogli sobie poradzić. Przy sposobności tej określono rolę *obcych przybyszów* w rzeczypospolitej i znaczenie paszportów.

Aby zapobiec nadużyciom w sklepach i warsztatach, w których nabywano niekiedy za kartonowe pieniądze nożyczki, ołówki, nici, ustanowiony został *strażnik celny*—poza obręb szkoły wolno było wynosić tylko przedmioty sporządzone przez uczniów. Strażnik kontrolował nadto środki spożywcze, przynoszone na śniadania i podwieczorki i czuwał nad zegarem szkolnym. Mali wytwórcy i kupcy urządzali od czasu do czasu wystawy swoich wyrobów, ogłaszali konkursy, zaprowadzili w szkole telefon, organizowali spółdzielnie, zawierali między sobą umowy, dzielili się zyskami osiągniętymi wspólnym wysiłkiem — ściśle regulaminy zapobiegały skargom i nadużyciom.

A GDY NADEJDĄ ZIELONE ŚWIĄTKI.

A gdy nadejdą Zielone Świątki,
z polnego kwiecia wieniec upleciem
i przystroiwszy izb swych zakątki!
każdziuchną przyzbę ubierzem kwieciami;

brzezina ściętą — na znak pamiątki —
i tatarakiem, listowiem świeżem!
a gdy nadejdą Zielone Świątki,
każdziusią chatę w zieleni ubierzem!!!

EDWARD KLONIECKI

ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA

DOCZekał.

(Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA).

Dokończenie.

Teraz w ciemnej izbie, zgarbiony na stołku, zanucił z cicha pierwsze swe wezwanie:

Wraz więc śpiewajmy! Choć dola przyniata —
Pieśń niech nas wszystkich bratnim węzłem spleta,
Pieśń w swoim łonie skarby nieba kryje —
Cześć jej i sława! Niechaj nam pieśń żyje!..

Rozbrzmiewało ono długi szereg lat. Oto pierwsze na Śląsku kółko polskie śpiewackie, zwane w miarę jak je Prusacy zamykali: Kołem św. Alojzego i Kasy-nem polskiem. Nakoniec chowali się, by śpiewać, do Herodowej kaplicy w niedo-kończzonej Kalwarji, skąd dzieciaki Hero-dami ich nazywały, a gdy żandarm i to schronienie wytropił, to w lasach, albo na polu...

Hej, czasy to były, czasy! Ile jego pieśni rozeszło się po Śląsku? Chyba z osiemset.. Różne były, ale o jednym mówiły... I minione lata pracy wydały mu się naraz niby rola, którą siewacz tajemny zeszedł ukradkiem przecież starannie, nie omijając ni piędzi.

Drzwi skrzypnęły. Nieomylnym słu-chem poznał, że idą gospodarz Franciszek Gracek, proboszcz Woźniak i sztygar Bompala. Pozdrowił ich serdecznie prosząc by lampę zaświecili, bo wiadomo, widzą-cym niemiło w ćmaku siedzieć, a na polu już dawno noc być musi.

— List macie? zagadnął proboszcz.

— Jest — rozpromienił się Hajda, po-dając mu papier.

Ksiądz czytał głośno, z uwagą, wśród ogólnego milczenia.

— Wszędy padają, że Polska zaś by-dzie, przytwierdził sztygar nakładając fajkę.

— Ze wszystkim co polskie było... — dodał żywo Hajda.

— To i Śląsk niby?

— A toć.

— Nie wiadomo czy tam jest, ale po co drzyć się do tej Polski... — zauważył sztygar obojętnie.

— A czemu też tak? — obruszył się stary wstając.

— Siednijcie se Wawrzon. To tam nic wielkiego... Nie pięknie o Polsce gadają... Był tu jedem z Dąbrowy niedowno... Go-dół:—Po bolszewicku wszystko zrobjemy,

nie przeja nam ksiendzów ani sztydyro-wanych panoczków...

— Zbój to jakisik abo chachar godoł...

— Żoden zbój ani gałgon, jeny górnik. Wam, Hajdo dycki się widzi, że w Polsce sami święci, a nom trzeja dobrze rozwo-żyć czy się też opłaci do Polski należeć... We Warszawie tyż o nos Ślązaków moc-ka nie stojom, jeszze tam za Ruskiem płaczom...

— Nie dejcie wiary ludkowie, nie mo-że to być!

— Bajić! Wy Hajda godocie całkiem kieć dzieć. My wiemy prowde nie z ksjon-żek, a od ludzi żywych kierzy stamtąd do nos przyszli. Życie — nie śpiewka! Jesz-cze tej Polski nima, a już się w niej lu-dziska i partje jak psy żerą...

— Niemce to godają na złość...

— Kiej nie Niemce a Poloki. Naisto wom padom — w Polsce nima dobrze. Z Niemcem nom źle, a w Polsce jeszcz-e będzie gorzej... Same socjały, nieznaj Bo-gi bedom nom rozkazować...

— Panie farożu! a dyć godejcie też co, dyć to tak nie może być!

Ksiądz tarł z frasunkiem podbródek.

— Niedobrze jest podobno — westchnął. — I gazety o tem piszą... Mam tu właśnie „Gazetę Ludową“...

— Lecz stary zaprzeczył głową upar-cie i zamilkł pogrążony w żalu. Goście rozmawiali jesze długo, stukając kuflami piwa po które posłał gospodarz. Czytali głośno gazetę. Nie słyszał nic z tego. Odgrodził się od nich milczeniem, cofając się w swą noc nieustanną. Tam za szań-cem kalectwa w państwie swem własnem, swobodnem, otrząsnął z głowy ich gadki cudaczne i wybiegł myślą daleko. Oto łą-ka zielona, słoneczna jak szczęście... Jadą żołnierze polscy, radosne zwiastuny swo-body, jadą śpiewający... Otwiera im du-szę, naościę... Otwiera serce stęsknione na przestrzak... Wita, chyląc się do kolan, ni to gospodarz oczekiwanym od lat wie-lu gościom.

* * *

Czerwcowe słońce grzało pergamino-wą twarz starego Hajdy. Wśród tłumu huczącego jak morze, przepasany powstań-

czą wstęgą waleczności, stał pod bramą tonącą w zieleni i kwieciu. Brama wzniesiona była na tym samym gościńcu którym niegdyś król Jan III jechał by się cudownej Matce Boskiej w Piekarach pokłonić. Tłum czekał. Hajda czekał wraz z nimi, lecz zalekniony jakiś i niepewny. Może dlatego, że czuł się coraz to bardziej zgrzybiałym i osieroconym, wydawało mu się teraz często, że długie lata prześladowań i okrucieństw pruskich mniej były ciężkie i bolesne, niż haos ostatnich czterech lat. Zmęczyły go i starzały do cna. Dawniej droga była prosta: Po jednej stronie niedościgniona świetlista Ojczyzna, po drugiej nienawistny wróg. Obecnie skłębiło się wszystko. W zacieklonych walkach partyjnych, intrygach politycznych, goryczach plebiscytowych, w morzu plugawego atramentu, zginęły dawne pojęcia. Z zagmatwanej płataniny wyłaniało się oblicze inne, niż to w które całe życie wierzył i oto dzisiaj, dożywszy chwili zwycięstwa czekał pod bramą utkaną flagami, z duszą pełną niepokoju. Dawny obraz Polski rozświetlający ciemnicę kaleczą zagał w szarpaninie dni, w powodzi obmierzłych wieści prawdziwych i nieprawdziwych, zatracił się doszczętnie, spelzł. Czem go zastąpi? W jakiej postaci zjawi się Polska za chwilę?

— Idom! — chwycił go za łokieć przyjaciel i opiekun Franc Gracek.

— Kandy?!

— Krzyk tłumu zgłuszył odpowiedź. Potężne: Idą!

Idą! — niosło się ponad głowami. Ludzie parli wprzód, pchali się jedni na drugich, nieczuli na nic, wpatrzeni. A oni szli rzeczywiście. Złoty pył drgał po nad nimi. Miarowo dygotała ziemia.

— Gracek! godejcie? gdo idzie naprzód?!

— Ułany idom...

— Ułany?!

Chciał pytać dalej, lecz głos zatonął w grzmocie radosnym wiewatów. Ku nadjeżdżającym wyciągnęły się wokoło setki ramion.

— Godejcie! — zebrał stary nawpół z płaczem targając przyjaciela za rękaw.

— Co mom godać... Już som blisko... Hnet bedom. Pieknie w słoneczku jadom... Zielone błonie za niemi... Ułany majom chorągiewki żółte... lance świecom... muzyka przodem... Co się wom ale stało Hajdo?! Co wom?!

Załamał się, opadł stary. Oto marzenie utracone szło ku niemu. Boże! Widzieć!...

— Widzieć!... Ujrzyć wytkany w ciemności sen rzeczywistością! Cudu!!! Widzieć!!! Zobaczyć... Bodaj na sekundę!... Widzieć!...

Szlochał w głos, nie bacznym, że już nadjechali, zapominając pracowicie przygotowanej przemowy. Zgarbiony ścisnął siwą głowę oburącz z rozpaczą.

— Och... widzieć!... Widzieć!... Chryste! ja chcę widzieć!...

Dowodzący wojskami generał Szeptycki nachylił ku niemu orlą twarz prawie z tklivością.

...nie możesz pan widzieć wojska polskiego, ale usłyszysz za chwilę tętent ułanów polskich wjeżdżających...

Krótki rozkaz, moment ciszy.

Srebrny wrzask trąb rozdarł powietrze, zatargnął tłumem, wybił się w górę, popłynął... Zagrzmiała ziemia pod ulewą nagłą kopyt, zaszumiały proporczyki, burza młodych głosów poniosła pieśń nieśmiertelną, młodą, rodzoną, zwycięską...

— Jezu roztomiły! Jezu!... wyszeptał ślepiec i padł bez czucia na ziemię.

HEJ, DO APELU STAŃMY WRAZ!...

(na nutę „Roty“).

Hej do apelu stańmy wraz,
Budować Polskę nową,
Ojczyzna wolna woła nas
Do pracy ręką i głową;

Nie wydrze nam jej znowu wróg, } 2 razy
Tak nam dopomóż Bóg.

Młodzieży młodą Polskę twórz,
Szczęśliwą, Bogu miłą.
Gdy z nami Bóg, przeciw nam któż?
On jest najwyższą siłą;

Ojczyźnie spłacam święty dług, } 2 razy
Tak nam dopomóż Bóg.

Fr. BARAŃSKI

JAN WIKTOR

WIEWIÓRKA.

Dokończenie.

Wiewiórka w mgnieniu oka pod napastnika.

— Kiz djabli nadali. Kaj się podziła.

Kogut rozgląda się, patrzy się, gdzież mu ta ćma zginęła. Zaklął pod dziobem.

— Cary chyba.

Nagle rozdarł się w niebogłosy. Wiewiórka chlast go z dołu pazurami. Zanim zdął sobie sprawę już był podrapany. Wziął ogon za pas i w nogi. Zziąjany pędził. Wiewiórka zanim. Ściga go ot tak dla zabawy. Czuka, śmieje się podskakuje, jakby nic innego nie chciała zrobić, tylko tak dla swawoli wyrwać jedno pióro z ogona. Aż pod szopę ściga.

Tam zgromadzone kury w trwodze gdaczą, kiwają głowami, łamią z rozpaczy skrzydła, niby baby przerażeniem zdjęte, a drące się w niebogłosy. Zgorszone są, że ktoś śmie ich wojownika zaczepić. Patrzą z miłosną litością. Kogucisko ledwie zipie. Tchu złapać nie może. Nadyma się dumnie, płonie cały czerwony.

— Dom jo jej jeszcze — popamięta mnie. —

W tej władczej groźbie jest więcej goryczy i plew zarozumiałości niż odwagi. A wróble wszędobylskie w śmiech.

Kogut — zwołuje nie chcąc słuchać drwin wobec wielbiwielek.

— Chodźmy stąd — pójdźcie.

Sam pierwszy kroczy pyszny, wspaniały, aby jak najdalej od miejsca niezaszczytnego.

Kury oniemiały z podziwu do siebie szepcą.

— On wse pikny — kieby z ognia — jaże w oczach i na wnętrzu polci.

Wiewiórka stoi, śledzi. Pyszczyk ma rozbawiony widać dusza jej aż pęka ze śmiechu.

Nagle trzask, prask. Burza szczekania z ganku wypada. Błyskawiczny skok, gwałtowny stukot po pniu i wióra kory od pazurów. W mgnieniu w połowie smreka. Nie może zdać sobie sprawy.

— O rety — cos to.

Zatrzymuje się, głowę odchyła, zapuszcza wzrok w gęstwinę. Pod nią biały rząd kłów, jęzor wywieszony, pysk rozdziawiony niby ognista czelusć dysząca

gniewem. Któżby jak nie Wobo. Podrapała się po pyszczku, jakby mu zagrała na nosie.

Chytoj com ci ze strachu w powietrzu ostawiła. Moze ci wystarecy, a bedzies miał malo to ci docynię.

Potem powoli na sz zyt. Drży cała. Niemal słyhać w malej piersi stukot przerażenia. Biję serce na alarm. Nic dziwnego, z takiej paszczęki się wyrwać.

— Niechże będzie chwala wiewiórce na wysokościach. Sercem jesce zmówię parioerek. Worces sama widzę. To beła stuka — z takiej kufy — się wyrwać niekiej z paś i.

Wobo zupełnie zbaraniał.

— Ledwo na ziemi, a już tam pod niebem. Przecie nie ptak, skrzydeł nie ma.

Wspina się. Usiłuje wleźć na drzewo. Drapie pień. Ani mowy. Zadziera łeb, wacha ślad ucieczki, drogę skoku, wstędem go przejmującą. Wywala ślepią, drepce w miejscu, oblatuje dookoła, szczeka, pyskiem i ogonem grozi. Szczekaniem zemsty nie wyrze i nie wygryzie.

Z wierchołka odpowiada mu czukanie szydercze.

— Głupis. Nie rozdzieraj pyska, bo cie gospodynki kijem uspokoi.

Wobo zas niemal od zmysłów odchodzi. Z orzu strzelają błyski z rozdziawionej paszczęki, lawina szczekania, grózb, przekleństw jakby to pioruny spadające z chmury serca.

A ona niewzruszona i nieczuła W pewnej chwili stanęła słupka, nakryła się ogonem niby baba spodnicą głowę ochraniającą w czasie deszczu, przybrała zgoła nieprzyzwoitą postawę i czuknęła, czego nie można jako żywo przetłumaczyć bez obrazy i bez narażenia się na gniew takiego psa jak Wobo. Gryzie najspokojniej szyszkę trzymaną w łapkach przednich, roni łuski jakby nimi pluła na psa.

Wobo sterczy bez ruchu, wściekły, do szału doprowadzony swoją bezsilnością. Już zupełnie ochrypl. Nijak mu odejść z pola tak sromotnej hańby. Chciałby je opuścić z jakim takim honorem. Żaden ratunek, żaden wybieg nie strzela mu. Głowa pusta jak miska po obiedzie. Jak może nadrabia miną, macha ogonem. Zda-

je sobie sprawę ze swej kompromitacji. Nie śmie nawet oczu podnieść na gromadę wróbli, rzucających grudki szydliwych ćwierków.

Znudziło się już wiewiórce w jednym miejscu. Dalej w drogę. Skoczyła nisko, udając że upada. Wobo jednym susem w górę. Ona mignęła przed oczami i zgięła w gęstwinie.

— Głupis — głupis.

Wobo zły wraca. Z zawstydzieniem ogląda się. Ukradkiem spojrzął na ganek. Spotkał mój wzrok. Chce się usprawiedliwić przede mną.

— E, co z taką zadawać się.

— To prawda. Ale że wiewiórka gwizdże na ciebie to też prawda.

— Podyrdał żwawiej, nie chcąc patrzeć w moje oczy. Ogon spuszczone, znamionuje zły, jak to mówią pod psem humor. Pod nos wlaża mu kura. Chwycił ledwo

za ogon, a tu służąca otworzyła gębę jak wrota.

— Idzies ty psie mięso, kury będzie strachoł. Wobo stękając upadł na podłogę. Kręci się, wierci jakby na paździerzach leżał. Wciąż przegryza wspomnienia. Mruczy groźnie.

— Jesce mi wpadnie w zęby — żywa nie wypusce. — Takie małe — a takie chybkie — machnie w nos ogonem i chytój, cos nie zgubił — psiakrew.

Ale wiewiórka tego nie słyszy. Już daleko — daleko. Wyloni się z zieleni i ginie. Pełna życia, radości i ruchu skacze. Gdzieś staje niby ciemna figurka. Czuka zadowolona, łuszcząc szyszkę i znów w drogę.

Biega — biega i szuka tego ziarna życia, które gdzieś na nią czeka.

Od rana do nocy nieznordowanie żywa, zadowolona i wesoła.



Co to jest? („Konkurs literacki“).

Dr. ANIELA KOZŁOWSKA

NAD PRĄDNIKIEM.

Dolina Ojcowska to najpiękniejszy zakątek ziemi Krakowskiej. Wśród falistego, polnego krajobrazu, gdzie jak okiem sięgnąć szumią pszeniczne i żytnie łany, a jedynie między wśród pól znaczony są bujnem barwnym kwieciami, czemś nieoczekiwanem, a jednocześnie radosnem jest dolina Prądnika. Wcięta głęboko w otaczającą wyżynę, kryje wśród ciemnego płaszcza lasów, w baśniach chyba tylko wysnione, skalne baszty, bramy kamienne, sale i chodniki podziemne. Prądnik, wartko płynący po dnie doliny, obrzeżony jest z dwóch stron wąskim pasem łąk, które w pierwszych dniach czerwca złocą się i czerwienią od jaskrów i firletek. Do tego pysznego, pełnego niemilkącego owadziego brzęku, kobierca przytykają z dwóch stron raptownie w górę dźwigające się skalne urwiska. Mroczny stary las z bukiem, jodłą i świerkiem nadaje dolinie wyraz dostojności i ciszy. Odwieczne buki, szumiące gdzieś nad Prądnikiem, to jedyni widoczni świadkowie czasów minionych,

gdy być może jelenie bez trwogi pić mogły wodę z zimnych wywierzysk wapiennych, a człowiek w noc Świętojańską szedł szukać wśród leśnych ostępów cudownego kwiatu paproci.

Las bukowy zarówno wiosną, gdy pokryty jest delikatnem, przeświecającem listowiem, jak i latem, gdy tworzy tajemną a mroczną ścianę leśną, jak wreszcie jesienią, mieniający się złotem i czerwienią, stanowiąc zbiorowisko roślinne od prawników związane z doliną Prądnika, to jest najpiękniwszem tłem dla skalic wapiennych. Wybielone ich ściany zarysowują się na tle lasu w najdziwniejszych kształtach: turnie, baszty, kominy, iglice piętrzą się wokoło. Miejscami skała sterczy wśród doliny samotnie, niby ręką olbrzyma postawiona, na której tylko sokoły, siadywać mogą, jak Sokół Skała w Pieskowej skale, inaczej Maczugą Herkulesa zwana. Niekiedy prostopadłe ściany zbliżają się tak bardzo do siebie, że tworzą potężną bramę wjazdową, godną by mógł nią przejeżdżać orszak



Dolina Prądnika. Ogólny widok Ojcowa.

królewski.

Czerwiec to czas bujnego rozwoju świata roślinnego, ziemia ma oblicze podobne do kwiatu, którego korona cudna już nie zdoła przybrać świetności większej. W dolinie Ojcowskiej na skałkach

róże dzikie obsypane są jasno różowym kwieciem, gdzieś niegdzie *głogi* bieleją. Na miejscach połączonych wśród darni trawy, siną szadzią pokrytej widnieją krwiste plamy *goździka kartuska*, kiście złotego *szczo drzeńca* się zwieszają, *szatwia ląkowa* wyniośle wznosi swoje kwiatostany, *głowienki* tuli się wokół.

Na wynioślejszej skale po drodze do jaskini Ciemnej rozwinęła cudne swoje piórkowate owoce *Ostnica Jana*, trawa, rosnąca na Podolu nad Dniestrem a będąca osobliwym, rzadkim gościem nad Prądnikiem. A oto tuż obok w lasach spotykamy innych obcych przybyszów: to rośliny górskie karpackie, które też wspólnie z innymi rosną nad Prądnikiem.

Choć tak pełen krasy, jednak nie odkrył nam jeszcze Ojców największych swoich tajemnic. Wśród lasów i skał

ukryte, biegną w górę w wielu miejscach wąskie ścieżynki, które ciągną w dnię świąteczne całe sznury ciekawych wędrowców do wielkich grot i jaskiń skalnych, znajdujących się kilkadziesiąt metrów ponad dnem doliny. Z zapalonemi małemi

świeczkami dostajemy się przez wąski otwór do wnętrza.

Ciemne, sklepienie pieczary uderza nas swoim ogromem. Największa sala balowa nie może iść w porównanie z jaskinią Ciemną, w której wedle podania królewskie odbywać się miały biesiady. A co tam labiryntów, korytarzy rozchodzących się na wszystkie strony! Ze sklepień sączy się kropkami wody, szmerem przyciszonym rozlegając się w jaskini.

Ściekając przez lat tysiące wytworzyła na ścianach i sklepieniach osobliwe, białe nacieki wa-

pienne, tak zwane *stalaktyty*, podobne do lodowych sopli, zwieszających się z naszych dachów. Woda deszczowa, przepływając przez warstwę gleby i wapienia, zasobna w kwas węglowy, rozpuszcza w sobie wapień, następnie wydostając się znów na powierzchnię w ja-



Ojców. Igła Deotymy.

skini, traci kwas węglowy, a wapień w formie białego nacieku pozostawia na ścianach pieczary.

Jeśli pragniemy, aby jaskinie odkryły nam wszystkie swoje tajemnice, to musimy przeszukać dokładniej ich wnętrza. Niby z zapyłonych kart starej księgi, słowo po słowie, dosłaniają się przed nami dzieje odwieczne. Tu znajdują się ślady pierwszych mieszkańców tej ziemi, których domem była jaskinia, odzieniem skóra niedźwiedzia, a bronią kamienna siekiera. Na dnie jaskini złożone warstwami znajdują się szczątki pierwszych ludzkich siedzib. Obok krzemiennych narzędzi leżą tu szczątki zwierząt dziś wygasłych: *niedźwiedzia jaskiniowego, hijeny, renifera, marmoty*.

To szacowne szczątki tych, którzy żyli w czasie groźnego kataklizmu jaki przeżywały ziemie Polskie, gdy ogromne masy lodów z dalekiej północy potężnym płaszczem zasłaly cały niż Północnej Europy.

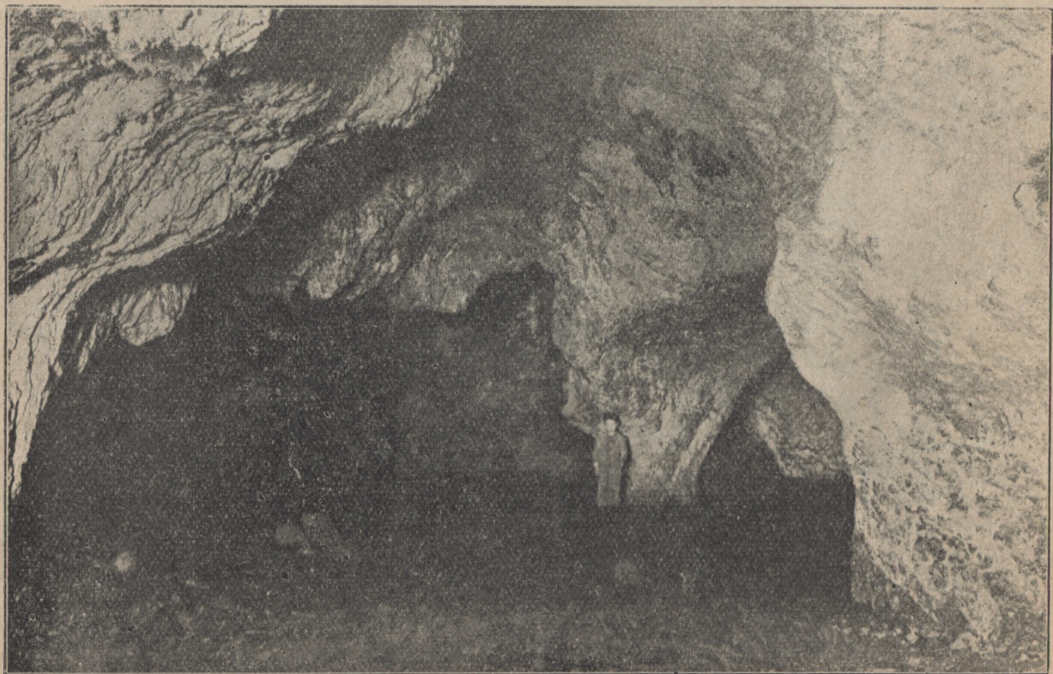
Człowiek dyluwialny zdobywał sobie wtedy prawo do bytu wśród walk nieustannych z groźnymi siłami przyrody.

Z tych to zamierzchłych czasów pozostały do dziś dnia na urwiskach skalnych drobne roślinki przybyłe z lodowcem z dalekiej północy, jak np. *łomikamień gronkowy*, pokrywający zbocza doliny Bętkowskiej.

Jaskinie były schronieniem dla człowieka nie tylko w okresie dyluwialnym, wśród grubych warstw namulisk, znajdujących się na dnie jaskiń, odnaleźć możemy ślady kultur późniejszych, gdy praojcowie nasi zaczęli wieść życie osiadłe, rolnicze i nad Prądnikiem po raz pierwszy obsiali zagony ziarnem pszenicznym.

Ojców związany jest zatem z naszą przeszłością nie tylko wspomnieniem króla — tułacza, który znalazł tu w czasach zamieszek schronienie, ale widocznymi śladami pierwszych tej ziemi gospodarzy, którzy ciężkim trudem zdobywali sobie prawo do bytu i wśród borów nad Prądnikiem uczyli się czczyć kochać i rozumieć przyrodzone bogactwo tej ziemi.

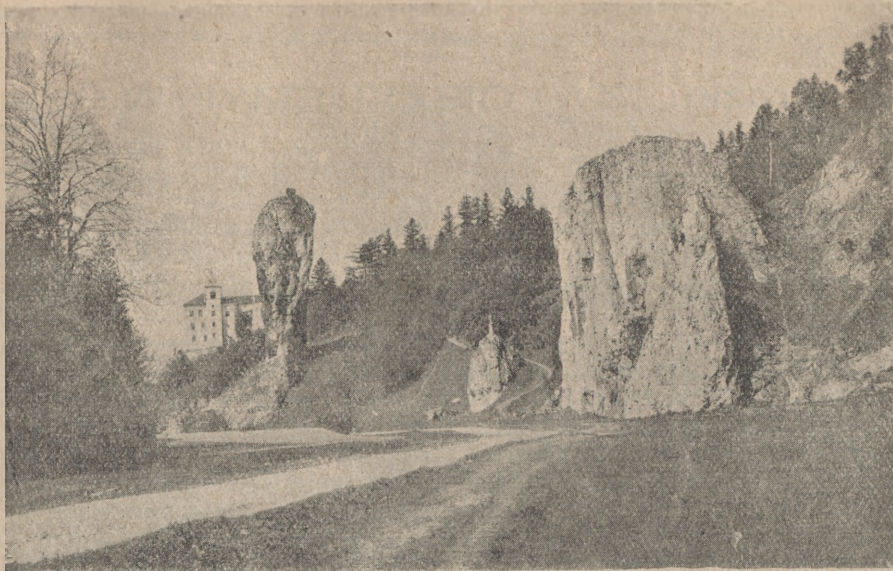
Dzisiaj, gdy setki dzieci rok rocznie jedzie nad Prądnik, by nacieszyć się pięknem doliny i zwiedzić pieczary pod-



Wejście do jaskini Ciemnej.

ziemne, narzuca się, każdemu pragnienie by Ojców zachować na zawsze niezniszczony w pierwotnej swojej szacie. Niech

las bukowy, nietknięty siekierą, szumi po wsze czasy nad Prądnikiem, niech bujne kwiecie rozwija się swobodnie na skałach,



Pieskowa skała z Maczugą Herkulesa.

niech rzesze ptactwa nie płoszy myśliwy!
Niech każdy wędrowiec wchodzi tu

z poczuciem głębokiem, że to nie moje,
ani twoje, ale nasze ojczyste!

Z DALEKICH KRAJÓW: SŁOŃCE O PÓŁNOCY.

Nie myślcie, że chcę Wam opowiedzieć jakąś legendę z dawnych czasów, lub może o tym, bardzo zajmującym i pożytecznym nowym sposobie leczenia chorych zapomocą tak zwanej „lampy kwarcowej“, której światło równa się prawie światłu słonecznemu, a mogłoby być przecie i o północy stosowane. Nie, światło, o którym opowiem nie jest ani wymysłem poetyckim, ani wytworem sztucznym, jest to całkiem prawdziwe naturalne światło słoneczne, które każdy człowiek zobaczyćby mógł o północy — gdyby był tak zamożny, że mógłby pozwolić sobie na podróż do północnych wybrzeży Norwegji. W pobliżu Cap Nord ciągnące się *fjordy**, obrzeżone górami, stanowią przepiękną osobliwość tych krajów północnych i ściągają turystów z całego świata. Prawdziwym jednak cudem przyrody nazwać można czarodziejską grę światła i cieni, roztańczającą się o północy przed oczyma widza na wybrzeżach Norwegji. W miarę zbliżania się ku północy, poczynawszy od pewnego stopnia szerokości geograficznej kolejność następ-

stwa dnia i nocy zmienia się. U nas liczy się przeciętnie na dzień 12 godzin i na noc tyleż, a chociaż w lecie dzień jest dłuższy a noc krótsza, to zawsze w obrębie jednej doby, czyli 24 godzin następuje po każdym dniu noc. W okolicach polarnych natomiast rok dzieli się na dwa okresy po 6 miesięcy. Jeden z nich, mianowicie zima, pogrążony jest prawie zupełnie w cieniach nocy, w drugim zaś okresie tj. w lecie słońce przez 6 miesięcy prawie nie znika z widnokręgu, lub na bardzo krótko tylko. Noc jest wówczas tylko jak gdyby zachodem słońca trwającego przez kilka godzin, a bezpośrednio po nim następuje wschód. Przez czerwiec i lipiec słońce jest wciąż widoczne i nigdy nie kryje się poza linią widnokręgu. O samej północy zatrzymuje się na kilka chwil ponad linią widnokręgu i zalewa krajobraz czarnym światłem:

Oto słońce o północy. Cudowne to zjawisko nocne trwa od 23 maja do 27 lipca. Przed rozbłyśnięciem słońca widok nieba zmienia się z każdą minutą. Złoto ustępuje miejsca, prze-

zroczytemu błękitowi, który stopniowo przyjmuje odcień zielony. W niektórych fjordach o godz. 10 morze jest stałe i wygląda jak lodowe zwierciadło po którym od czasu do czasu przebiega różowy błysk. Z pomiędzy chmur przegląda jasne niebo. Aż nakoniec kula sło-

neczna wznosi się powoli i nagle jeden promień pada u stóp skały, a wnet zalewa ją światło, które po chwili rozjaśnia całą okolicę aż do najciemniejszych zakątków.

Dr. F. N.

* Fiordy są to zatoki morskie wąskie a głębokie ograniczone wysokimi skałami.

GUSTAW MORCINEK

Nasze obrazki: „ZWYCIĘŻYLIŚMY!“ W. Kossaka.

Zwyciężyliśmy!...

Lasek falencki pod Raszynem i grobla między stawami trzy razy przechodziły z rąk do rąk,—raz je zagarnęło mrowie Austriaków, drugi raz szczupłe szeregi naszych żołnierzyków! Zdawało się, że musimy ustąpić zawziętym Austriakom, że po raz trzeci już ich nie odeprzemy. Zsiada wtedy z konia nasz wódz, książę Józef Poniatowski, zapala fajkę, podnosi z ziemi porzucony karabin z najeżonym bagnietem, podchodzi przed szeregi wyczerpanych żołnierzy i tak powiada: „Chłopcy, baby w domu z nas śmiałyby się, gdybyśmy zostawili pole tamtym włóczykiom! Naprzód za mną, kto w Boga wierzy“!... I poszedł. Gdy to żołnierze ujrżeli, jak nie wrzasną głosem wielkim Hurra!, jak nie ułapią mocno karabiny, jak nie ruszą pędem, kieby lawina, na ogłupiałyich ze zdziwienia Austriaków, iż stał się taki zamęt, zamieszanie, taki okropny wrzask tłuczonych Austriaków poleciał pod niebo, że aż te wrony w okrutnem przerażeniu uciekały daleko, lamentując rozgłośnie, a Austriaki kładły się na ziemię bez ducha, kieby te snopy zboża podcięte straszliwą kosą.

A teraz... w dalekiej głębi, gdzieś na widnokręgu dogorywa zwycięska dla nas bitwa. Wróg cofnął się daleko, poza stawy, znacząc krwawą drogę trupami swych żołnierzy. Oto leżą teraz biedacy na grobli, między starami drzewami, co se w rząd przystały, leżą ciężko i niedbale, na wieczne odpocznienie, w polskiej ziemi, czekający. A środkiem grobli, pomiędzy drzewami i stygnącymi zwłokami, pędzi na koniu oficer polski i krzyczy radośnie: „Zwyciężyliśmy!“... Koń gna, jak szalony, bodzony ostrogami, sadzi olbrzymiemi susami w niepohamowanym pędzie, wznosi w tej chwili przednie kopyta, by za chwilę, za drobną chwileczkę runąć wprost na nas, przelecieć jak wichur i pognać w świat daleki z radosną nowiną. Koń się w burzę zamienił. Podniesiona głowa, roz-

dęte chrapy, płomienie w oczach, rozwiana grzywa i te nogi przednie, wspinające się w gwałtownym skurczu do piorunowego skoku naprzód!

A oficer, adjutant samego księcia Józefa — o czem świadczą sznury na pierśsiach — wznosi rękę wysoko i krzyczy radośnie o zwycięstwie. Wichr szarpie czerwone poły jego munduru, porywa z rozradowanych ust krzyk o zwycięstwie, roznosi ponad uciszone stawy, ponad szare pola, pod niebo wysokie, na calutki świat, żeby serce polskie uradować.

Scena powyższa przedstawia nam epizod z bitwy pod Raszynem w r. 1809, kiedy to armja austriacka, licząca 40.000 żołnierzy, wkroczyła w Księstwo Warszawskie, by je zawojować. Czoło jej stał wtedy książę Józef Poniatowski, mający zaledwie 12.000 żołnierzy polskich a 1.300 saskich. Wojska spotkały się pod Raszynem. Prawie cały dzień trwająca bitwa skończyła się naszym zwycięstwem.

• Znany już Wam Wojciech Kossak, którego obrazki widzieliście na okładkach pierwszych dwóch numerów („Straż nad Wisłą“ i „Orlęta“) ujął po mistrzowsku ten drobny epizod. Patrząc się na nasz obrazek, wyczuwamy bezwiednie ten ogromny pęd konia, gnającego z wichrem w zawody, i prawie słyszymy ten radosny, radosny krzyk oficera, spieszącego do księcia Józefa z upajającą wieścią o naszym zwycięstwie. Malarz, pragnąc nam dobitniej przedstawić tę radość i pęd, i młode, bujne życie, umieścił jeźdźca na pierwszym planie, na tle stygnących zwłok żołnierzy austriackich i na tle spokojnych, w cichości bezmiernej stojących drzew. To dwie przeciwności czyli kontrasty, upajający pęd konia i radosny krzyk jeźdźcy, a smutna cisza i spokój pobojuwiska — czynią ten obraz tak piękny, że aż dziw. No, ale bo też to malował W. Kossak, malarz jakich mało nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

ROZRYWKI

„Ja chcę czegoś, a jeśli chcę zawsze tego samego, to nie mogę wątpić, że mając wieczność przed sobą, wszystkie cele mej woli osiągnę“.

W obecnym numerze „Orląt“ podajemy ostatni „Konkurs na wytrwałość“ jak i również dwa ostatnie obrazki do „Konkursu literackiego“ (Co to jest?)

Kto więc jeszcze nie nadesłał wszystkich rozwiązań z poprzednich konkursów, niechże to uczyni najdalej do 15 czerwca r.b. W № 7 „Orląt“ będą ogłoszone wyniki wszystkich zapowiedzianych konkursów.

Numer następny № 7 „Orląt“ będzie poświęcony pamięci Juliusza Słowackiego; ukaże się dopiero około 20 czerwca z powodu zwiększonej objętości druku.

KONKURS NA WYTRWAŁOŚĆ № 6.

LOGOGRYF-POZIOMY

ulożył Anastazy Kleszczewski
(za rozwiązanie 2 punkty.)

A	A	A	A	A	A	I	A	A
O	D	A	K	A	A	M	P	K
P	R	B	M	D	P	N	S	O
R	W	M	O	R	S	S	T	P
W	Y	R	R	W	T	U	Y	Z

Litery w rzędach pionowych poprzestawiać w ten sposób, aby dały słowo o znaczeniu:
1) Zbiór ustaw — przepisy. 2) Zwierzę wodne. 3) Znajduje się w każdym domu. 4) Owad błonkoskrzydły. 5) Dopływ Dunaju. 6) Służy do czyszczenia. 7) Wyrażenie arytmetyczne. 8) Uczta pogrzebowa. 9) Wystawa. Środkowy rząd poziomy czytany od strony lewej ku prawej da nam imię i nazwisko poety polskiego.

REBUSIKI

ulożył Anastazy Kleszczewski
(za rozwiązanie 4 punkty.)



BILET WIZYTOWE

ul. „Teka“
(za rozwiązanie 2 punkty.)

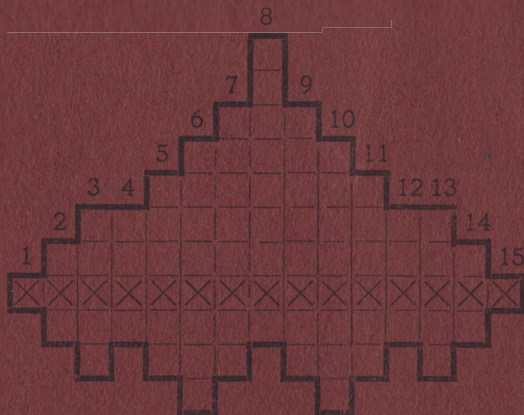
LEON JAMIGAR

MARJAN ONOT

Z podanych nazwisk ułożyć 2 różne nauki.

ZAGADKA

ulożył Józef Flakus
(za rozwiązanie 2 punkty.)



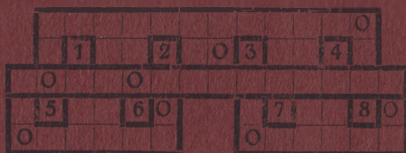
Miejsca oznaczone krzyżami mają dać imię i nazwisko wieszca polskiego.

Znaczenie wyrazów pionowo:

1) Litera. 2) napój alkoholowy. 3) dzieło Bolesława Prusa. 4) członek rodziny w 1 przypadku liczby mnogiej. 5) inaczej przyroda. 6) angielski pisarz słynnych utworów teatralnych. 7) powiastka Żeromskiego. 8) sławny rzeźbiarz polski. 9) imię męskie. 10) inaczej obrzydliwy. 11) przeciwieństwo do kłamstwa. 12) dzieło Ludwika Konratowicza (Wł. Syrokomli). 13) trzeba brać ostrożnie w ręce. 14) część ciała. 15) litera.

NOWA ODMIANA WIRÓWKI

ulożył Janba
(za rozwiązanie 3 punkty.)



Wszystkie pola należy wypełnić literami, by naokoło każdej z cyfr utworzył się wyraz o podanem niżej znaczeniu. Początki wyrazów wskazują kółka. Środkowy rząd poziomy da imię i nazwisko najwyższego dostojnika w Polsce.

Znaczenie wyrazów:

1) przełożony w klasztorze. 2) instrument muz. strunowy. 3) drogi bite. 4) biskup poznański XVI w. 5) imię męskie słowiańskie. 6) imię męskie. 7) świątynia. 8) sławny przeor OO. Paulinów w Częstochowie.

1927 78 409864 6

Należytość pocztową opłacono ryczałtem.

„TEATRZYK WILEŃSKI“.

Nakładem i drukiem

JÓZEFA ZAWADZKIEGO

w Wilnie ukazało się kilkanaście obrazków scenicznych i komedijek dla dzieci i młodzieży.

Któż o tem wie, jeśli nie młodzież, że wśród radosnych rozrywek pierwsze miejsce zajmują przedstawienia amatorskie: Jasełka, szopki, komedijki, obrazki sceniczne i t. p. — przynoszą niezapomniane chwile radości połączonych z pożyteczną nauką. Ucząc się ról, robiąc próby, staramy się mówić poprawnie, wyraźnie, z wdziękiem, a wszystko to jest bardzo potrzebne każdemu człowiekowi do życia.

Z drugiej zaś strony zastanawiamy się i myślimy o wspólnej pracy dążącej do jednego celu.

Mając to wszystko na uwadze redakcja „Teatrzyka Wileńskiego“ — dobiera utwory sceniczne takie, aby artyści i młodociani słuchacze zapoznawali się z postaciami i wypadkami dziejowymi, wchłaniali do dusz swych i umysłów poczucie prawości, obowiązku i zapal do rzeczy wzniosłych i wielkich.

Niech więc ci, dla których przeznaczony jest ten zbiorek zapoznają się z nim i korzystają dowoli z sumiennej i mozolnej pracy autorów „Teatrzyku Wileńskiego“.

W BIBLIOTECZCE

„TEATRZYK WILEŃSKI“

ukazały się dotychczas:

	zł	gr
1. M. REUTTÓWNA. Trzeci Maj	1.—	
2. H. ROMER. Noc Świętojańska-Kopciuszek —	40	
3. M. REUTTÓWNA. Rabuś	30	
4. „ „ Cudowny doktor	30	
5. Z. MAŁOBĘDZKA. Tajemnica	30	
6. M. REUTTÓWNA. Kłopoty Zosi	50	
7. „ „ Janek i Jagusia	50	
8. „ „ Św. Mikołaj	40	
9. H. ROMER. Nasza Szopka	50	
10. M. REUTTÓWNA. Trzewiczek Królowej —	50	
11. „ „ Król Chłopków	40	
12. BONIFACY WRZOS. Królowa Krasawica —	70	
13. H. ROMER. Przygoda Młynarza	40	
14. M. REUTTÓWNA. Wicek Niecnota	70	
15. „ „ Król Migdałowy	40	
16. „ „ W noc Czarów	30	
17. BONIFACY WRZOS. Żelazny Wilk	80	
18. „ „ Jagienka i Smok	90	
19. M. REUTTÓWNA. Wyzwolenie Wilna	1.—	
20. „ „ Jak Bołko został rycerzem —	60	
21. M. REUTTÓWNA i BONIFACY WRZOS W wielką rocznicę	80	
22. M. REUTTÓWNA i BONIFACY WRZOS. Wanda.		

W PRZYGOTOWANIU:

23. BONIFACY WRZOS. Garbuska.
24. H. ROMER. Rozbitý garnek czyli czary w lesie.

TREŚĆ NUMERU 6-GO Z DNIA 1-GO CZERWCA 1927 R.

Józef Załęski — Modrzew polski na górze Chel-	
mowej pod Nową Słupią	str. 82
K. Łapczyński — Baśń tatrzańska o królu węzów „	83
Helena Witkowska — Zabawa w Rzeczpospolitą „	87
Zofia Kossak-Szczucka — Doczekał	88
Fr. Barański — Hej, do apelu stałmy wraz!.. „	89

Jan Wiktor — Wiewiórka	str. 90
Dr. Aniela Kozłowska — Nad Prądnikiem . . .	92
Dr. Felicja Nossig — Z dalekich krajów: słon-	
ce o północy	95
Gustaw Morcinek — Nasze obrazki: „Zwycięży-	
liśmy” W. Kossaka	96

Pismem kieruje: Komitet redakcyjny pod przewodnictwem D-ra Ignacego Chrzanowskiego Prof. Uniw. Jagiell.

Adres Redakcji i Administracji: Katowice, ulica Wandy L. 41. Wydawca: P. Stasiak.

Redaktor odpowiedzialny: Mieczysław Gładysz, Katowice, ulica Wandy 41.

Przedstawicielstwa: Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 1, Jerzy Karbowski.

Wilno, Benedyktynska 2 — 3. Skład Główny na Wilno i Wileńszczyznę księgarnia C. Zarządu P. M. Sz. Z. W. Zakopane, Nowotarska 104.

Warunki prenumeraty „Orląt” z przesyłką pocztową: — kwartalnie 1.50 zł., — półrocznie 2.80 zł., — rocznie 5 zł.

Numer pojedynczy 25 gr. Zagranicą rocznie 2 dolary.

Konto w P. K. O. 303 600.

Prenumerata „Orląt” i „Orlątek” razem: kwartalnie 2 zł. — półrocznie 3.70 zł. — rocznie 7 zł.

Ogłoszenia: za wiersz wysokości 1 mm., szerokości 1 łamu 40 gr. Kolumna posiada 2 łamy.

Do nabycia we wszystkich Księgarniach i Kioskach.

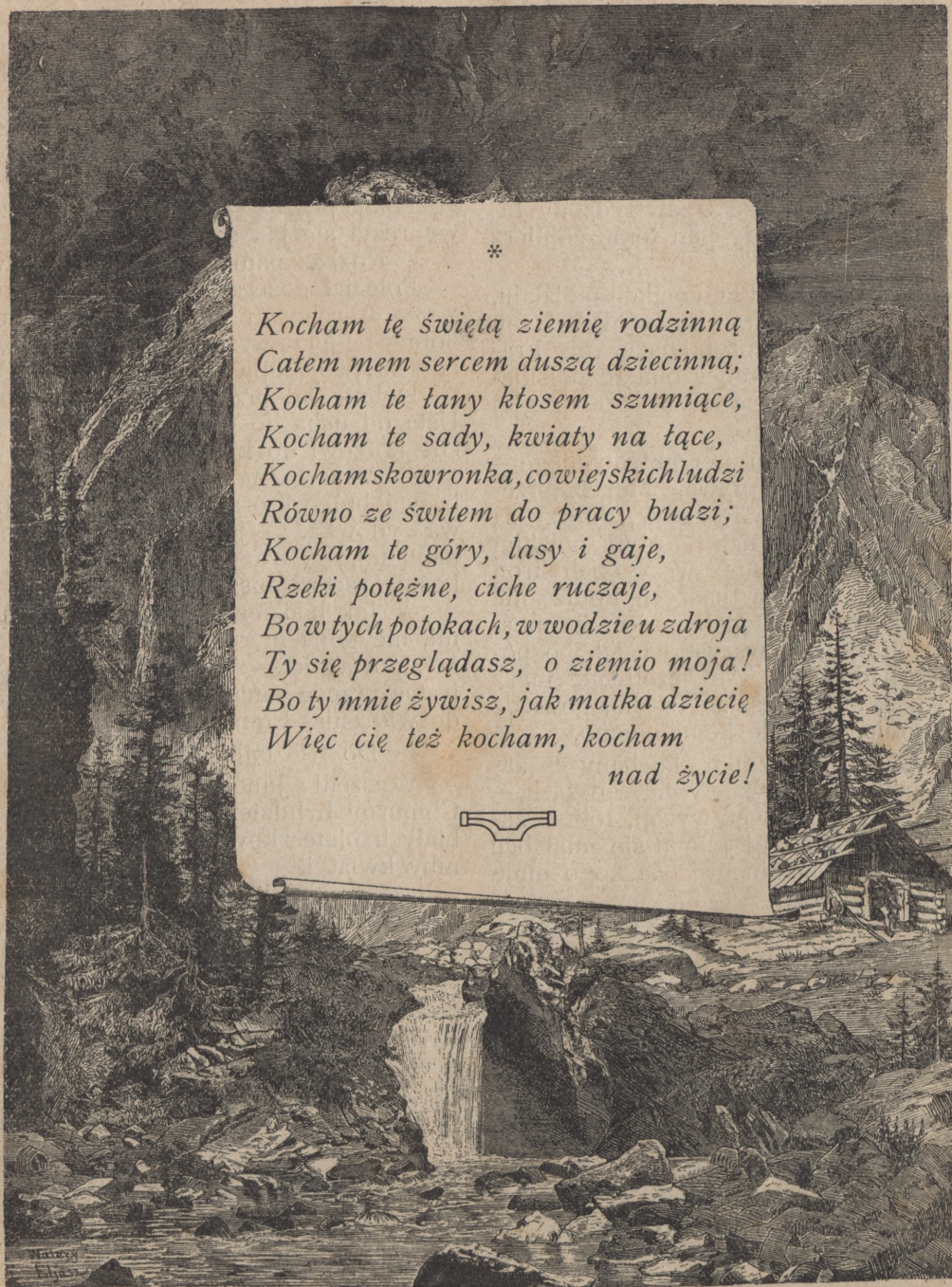
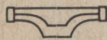
ORŁATKA

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

NUMER 6. KATOWICE, DN. 1-GO CZERWCA 1927 R. ROK I.

*

*Kocham tę świętą ziemię rodzinną
Całem mem sercem duszą dziecinną;
Kocham te tany kłosem szumiące,
Kocham te sady, kwiaty na łące,
Kocham skowronka, cowiejskich ludzi
Równie ze światem do pracy budzi;
Kocham te góry, lasy i gaje,
Rzeki potężne, ciche ruczaje,
Bo w tych potokach, w wodzie u źródła
Ty się przeglądasz, o ziemio moja!
Bo ty mnie żywisz, jak matka dziecko
Więc cię też kocham, kocham
nad życie!*



JULJUSZ GERMAN

O JANKU CO WALCZYŁ WE LWOWIE.

Ciąg dalszy (4).



oczy grubego pana ten promień uderzył i duszę mu rozświetlił.

Rzekł położywszy rękę na głowie Janka:

— Ano, trudno. Gdy trzeba, to trzeba. Od was należy miłości Ojczyzny uczyć się, lwowskie dzieci. Pójdę z wami. Ale ty, chłopcze, nie będziesz się już z mego brzucha wyśmiewał?

— Nie będę — rzekł zawstydzony Janek. Nie będę, kiedy pan teraz żołnierz i kolega.

Wysłał raz znowu komendant oddziału, ale już Janka samego, bo wydawał mu się poważniejszy i sprytniejszy, niż Franek, z listem do dowódcy innego polskiego oddziału, który walczył po drugiej stronie miasta, daleko.

— Słuchaj, Janku — rzekł do niego — niebezpieczna to wyprawa. Musisz przekraść się przez linje Rusinów, którzy są w środku, między nami a tym polskim oddziałem, otoczonym ze wszystkich stron przez wroga. Trzeba naszych koniecznie uwiadomić, żeby trzymali się jeszcze mocno i bronili się ze wszystkich sił, bo pomoc już nadchodzi. Ale jeżeli nie masz ochoty iść, albo boisz się trochę, powiedz mi otwarcie, a wysłę kogo innego.

— Panie poruczniku kochany — zawołał Janek, a łzy błysnęły mu w oczach, — gdyby pan kogo innego wysłał, tobym zamartwił się na śmierć! Jabym się miał bać tych ruskich oberwańców! Za kogo mnie pan porucznik ma?

Porucznik położył mu rękę na ramieniu.

— Więc idź, mój chłopcze. Musisz pójść bez broni i orzelka odpiąć z czapki, żeby nikt nie poznał, że należysz do polskiego wojska. List ukryj dobrze a jak porządnie się sprawisz i szczęśliwie powrócisz, zostaniesz kapralem, choć taki mały jesteś.

Janek aż poczerwieniał z dumy i radości. Ścisnęło go coś za gardło, że ani słowa jednego nie mógł powiedzieć. Patrzył tylko na porucznika oczami roziskrzonymi jak słońce.

A porucznik spojrzał na niego wzrokiem sokoła i do piersi go przytulił jakby młodszego brata.

— Idź, polski żołnierzu — rzekł jasnym głosem. — Idź młode orle i powracaj z chwałą.

Janek przyłożył dwa palce do czapki, wyprężył się jak struna.

— Rozkaz panie poruczniku! — zawołał.

Polecił pożegnać się z Frankiem.

— A schowaj mi orzelka i pilnuj go dobrze! I przeczyść tam mój karabin, który pod twoją opieką zostawiam.

Dobrze, dobrze — mruknął Franek. Usta od ucha do ucha otworzył i wsunął coś Jankowi do kieszeni.

— Masz tu na drogę duży kawał kiełbasy i bułkę którą mi dała jedna pocziwa żydówka. A jak zostaniesz kapralem, pamiętaj, żebyś na mnie nie krzyczał, bośmy razem poszli się bić!

— Jak będziesz służył porządnie pełnił, nie powiem ci ani słowa — rzekł Janek poważnie. — Ale musisz mnie słuchać i stać przede mną prosto jak świeca. No, do widzenia, Franku!

— Do widzenia, Janku!

Wyszedł Janek w samo południe. Chmurny był dzień, śnieg pruszył, tysiące białych płateczków rozrzucało po ulicach niby kwiatki.

Janek okręcił mocniej szyję swoim podartym włóczkowym szalikiem, włożył ręce do kieszeni i szedł sobie, pogwizdując zcicha.

Na ulicy miasta było prawie pusto. Od czasu do czasu snuł się jakiś przechodzień, pod murami kamienic śpiesznie się przemyskał. Po chleb, po żywność zdążał, by zanieść co do domu, w którym nie było co jeść.

Już daleko za Jankiem zostały polskie placówki. Na rogu ulicy po-



kazał się ukraiński żołdak, zbrojny a brodaty i brudny. Za nim drugi, trzeci. Obstąpili Janka, chwycili go za kołnierzy ciężkimi łapami.

— Gdzie ty idziesz, urwisie? Skąd ty, gdzie mieszkasz?

— Puście mnie panowie żołnierze — rzekł Janek pokornie — matka mnie posłała, żebym do jedzenia co kupił. Mieszkam pod Wysokim Zamkiem, mam jeszcze spory kawał do domu.

— A co w kieszeni nosisz?

Obszukali go dokładnie. Listu nie znaleźli, bo Janek schował go w bucie. Ale zabrali mu kiełbasę i bułkę, śmiejąc się szyderczo. Kolbą go jeden na pożegnanie uderzył, aż z bólu świeczki w oczach Janekowi stanęły

Lecz żeby tylko zacisnął i nie jęknął nawet.

Doszedł do Rynku. I serce boleśnie mu zabiło, gdy ujrzał na wieży ratuszowej żółtoniebieską ukraińską chorągiew.

— O mój Boże, — pomyślał sobie — jakie to smutne, że nad polskim miastem którego tak ciężko bronimy, powiewa jeszcze chorągiew wroga, panoszy się bezprawnie nad murami polskiego Lwowa.

I podniósł głowę do góry w cichej modlitwie.

I nagle zdumiał się a oczy rozbłyły mu niespodziewaną radością.

Wśród białych płatków śniegu zajaśniał niby duży ptak, a w powietrzu rozległo się groźne warczenie.

Nad ratuszem leciał polski samolot. Wymalowane na nim były białe i czerwone kółka. Leciał tak nisko, że widać było lotnika w ceratowym hełmie na głowie.

Zbiegł się w tej chwili z wszystkich stron tłum ukraińskich żołnierzy. Podnieśli do góry karabiny, zaczęli wszyscy zajądło strzelać, chcąc zabić śmiałka, samolot na strzępy potrzaskać.

Ale lotnik nieustraszony sterował zręcznie swym powietrznym ptakiem z płótna, drzewa i stali, sterował wśród gradu kul z jasną odwagą, coraz niżej nad ratuszem się opuszczając.

Niech Bóg da ci zdrowie, polski lotniku! — pomodlił się w duszy Janek

gorąco. — Żeby nic ci się nie stało, ty śmiały!

I aż krzyknął cicho z uciechy.

Bo lotnik jedną rękę na sterze samolotu trzymając, drugą wyciągnął w dół i szybkim a mocnym ruchem zdarł z ratuszowej wieży żółtoniebieską chorągiew.

Wrzasnęli z wściekłością i gniewem Rusini, nowy grad pocisków posypał się na lotnika.

Trafił go w wyciągniętą rękę dobrze wymierzony strzał, lecz on chorągwi zdobytej nie upuścił z dłoni zakrwawionej, choć twarz zbładła mu z bólu. Zakręcił sterem i wzniosł się wgórę, wysoko, gdzie go kule już osiągnąć nie mogły.

Tylko z białymi płatkami śniegu spadły na bruk Lwowa krople krwi czerwonej z rany, która na ręce bohatera kwiatem poświęcenia zakwitła.

A Janek pogonił dalej ucieszony, pełen radości, lekki jak ptak.

Zatrzymało go znów kilku Ukraińców. Obszukali go znowu dokładnie, pięściami po głowie nabili. Zdarli mu szalik włóczkowy z szyi, ściągnęli kurtkę z pleców, że został w samej koszulinie, trzęsąc się z zimna. Ale cieszył się i śmiał w duchu, że mu do butów nie zagładnęli, gdzie list był ukryty.

d. n.



N A P A D.



iędzy staremi lipami, wokół których rosły miodne kwiaty, stała pasieka.

Miejsce było wygodne: od mroźnych, północnych wiatrów, chroniły pasiekę góry wyniosłe, a od burz i zawiej, stare, rozrosłe ko-

nary lip, w których dzwoniły pszczoły swoje pieśni pracowite i mądre.

Razu jednego, gdy zmrok zapadł i ściemniło się zupełnie, wtedy niezgrabnie, ale ostrożnie zaczął się zbliżać Miś do pasieki, której woń miodu, zwabiła go z głębokiej puszczy, rozciągającej się na zboczach gór.

Cicho było zupełnie, najmniejszy szeleśt nie zakłócał spokoju nocy. Miś stanął naprzeciw ula i długo mu się przypatrywał... Nareszcie cicho, powoli podsunął się pod sam pień ula. Stał na tylnych łapach i cichutko obmacywał pień i badał, którądy można wydobyć plastry miodu.

We wnętrzu pnia spały mocno zmęczone całodzienną pracą pszczoły. Ale jedno i drugie silniejsze dotknięcie niedźwiedziej łapy zbudziło drzemiącą u otworu straż.

— Coś się dzieje dziwnego — szepnęła jedna strażniczka do drugiej.

— Pasiece grozi niebezpieczeństwo.

— Zagładnę.

I wyrzała. Ale zanim zdołała wychylić się na zewnątrz, już ją zmiażdżyła silna łapa niedźwiedzia, która właśnie w tej chwili uderzała w pień.

Druga strażniczka, stojąc tuż za pierwszą, zobaczyła ogromną łapę i pot-

worną paszczę napastnika. Więc przerażona cofnęła się wstecz i ze strasznym krzykiem „niedźwiedź“ przeleciała całe wnętrze ula, budząc do obrony śpiące towarzyszek.

Szum, ruch, zamęt nie do opisania, zawrzał w ulu.

Dźwięk: „niedźwiedź“ leciał w najodleglejsze kąty.

— Co robić? — wołały przerażone pszczoły. Naraz jakiś głos stanowczy zawołał rozkazująco:

— Stańcie na straży królowej i bronić jej, zaślaniać ją własnym ciałem.

Część pszczół poleciała w odległy kąt gdzie spała królowa.

— A reszta — brzmiał rozkaz — cofnąć się, nie zbliżać się do otworu, bo każda z was zginie w potężnej łapie niedźwiedziej. A gdy napastnik wybiję ścianę, wszystkie naraz obsiąć gęsto jego pysk i głowę — i chociaż to wam śmierć grozi, kłuć go. W ten sposób przynajmniej królowa i część naszych towarzyszek zostanie przy życiu.

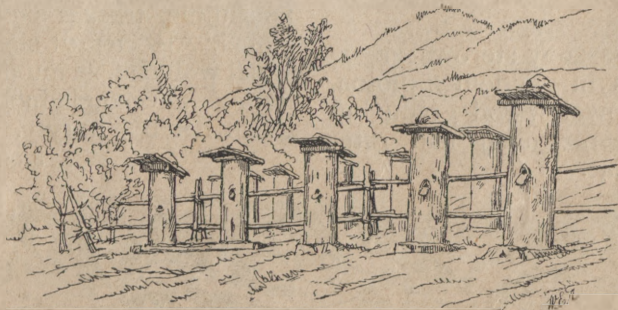
Większa część pszczół cofnęła się w głąb, a część młodszych latała w zamieszaniu.

— Skąd ta stara wie co robić? szepnęła jedna.

— Ona już przeżyła taki napad na pasiekę — odszepnął ktoś z boku.

Tymczasem łapy Misia waliły, drapały, grzebały, aż wkońcu rozbiły zamurowanie, odpadła murarska zaprawa i szereki otwór odsłonił wnętrze ula.

Oczom Misia przedstawił się czarowny widok: ujrzał plastry w znacznej części wypełnione miodem. Sięgnął po nie łapą, ale w tej chwili rój pszczół wypadł z ula i obsiadł całego Misia.



Niewiele sobie robił z tych, co obsiadły mu grzbiet, szyję, pierś, bo grube kudły chroniły jego skórę od ukłucia, więc wyrwał jeden plaster, podniósł go do pyska i zaczął chciwie wysysać słodki miód — ale już cała gromada pszczoł, obsiadła mu głowę, i kuła pysk, powieki, uszy.

Ból był okropny, ale łakomstwo jeszcze większe, więc chwycił drugi plaster i znowu podniósł go do pyska. Ale teraz już i te pszczoły, które obsiadły grzbiet, zdołały się wcisnąć między kudły i cięły

napastnika ze wszystkich stron.

Ból dokuczał Misiowi coraz bardziej. Strzelił mu do głowy dowcipny koncept, więc trzymając plaster miodu w przednich łapach, zaczął się tarzać po ziemi i gniótł ciężarem swego ciała całe dziesiątki i setki pszczoł.

Niedługo trwała ta walka. Zginęły w niej setki pszczoł, ale skąsany niedźwiedź zaczął uciekać, nie mogąc wytrzymać tych ukąszeń bez końca.

Pasieka została uratowana.



KAZIUKOWE ŚWIĘTO.

Obrazek sceniczny ze śpiewami w dwóch odsłonach.

Napisała MARJA REUTTÓWNA.



Stefek.

Trzeba ich ratować, posłuchajcie, jak nam pan dziś mówił o tych czajkach, co wołały, że dobroć jest najpotrzebniejsza ludziom, pomyślałem sobie, że w dzień Ś-go Kazimierza, trzeba zrobić coś dobrego, by naszego królewicza uradować.

Józio.

Ale co?

Stefek.

Zróbmy Kaziukowi święto, złożmy się i kupmy mu na imieniny balję.

Antek.

Ale za co?

Stefek.

Jakto za co? Za pieniądze. Przecie każdy, z nas dostał od ojca lub matki parę groszy na jutrzejszy jarmark. Zamiast obwarzanków, piernikowego serca albo kogutka, co to mu się w ogonek dmucha by gwizdał, złożmy się na balję.

Janek.

Nie starczy nam pieniędzy...

Stefek.

Kto wie? Liczmy ile każdy z nas da.

Józio.

A ile Stefek da?

Stefek.

Tyle co mam—dwa złote. Chciałem sobie kupić piłkę do wycinania. Obejdę się.

Janek.

Ja mam tylko jeden złoty.

Bolek.

I ja tyle dam.

Wojtek.

Ty najbogatszy i tylko złoty dajesz?

Bolek.

Muszę sobie coś kupić.

Antek.

Ja dam złoty i pięćdziesiąt groszy, chciałem sobie kupić nowy pasek, obejdę się starym.

Stefek.

To już całe pięć złotych i groszy pięćdziesiąt. A młodzi żacy nic nie dadzą?

Józio.

(namyśla się chwilę)

Chciałem sobie wędkę kupić, ale co tam. Biesz, Stefku i moje dwa złote. Niechę i serca i kogutka (podaje dwa złote).

Wojtek.

A ja sobie torebkę skleję z papieru sam, a złoty oddam na balję.

Stefek.

A ty, Tadiusz, ile dasz?

Tadzio.

(zakłopotany)

Mam tylko pięćdziesiąt groszy, wstyd mi, że tak mało... Jutro przyniosę...

Ciąg dalszy (5).

Stefek.

Niema żadnego wstydu, kaźden z nas daje ile ma. Teraz liczymy. Antek zapisuj.

Antek.

(pisze, potem czyta).

Stefek dał 2 złote, Janek złoty, to trzy, Bolek złoty, to cztery, Antek złoty pięćdziesiąt, to pięć złotych i pięćdziesiąt groszy, Józio dwa złote, to siedem i 50 gr. Wojtek i Tadzio złoty 50 gr. to całe dziewięć złotych.

Stefek.

Mało, żeby chociaż dziesięć było. Skąd wziąć! Nie mam już grosza.

Antek.

I ja również.

Janek, Tadzio, Józio i Wojtek.

I my również nic już nie mamy.

Bolek.

Jak wy tak wszystko oddaliście, to i ja to powinien zrobić. Dam jutro dwa złote.

Stefek.

Dziękuję ci kolego. To już jedenaście. Chyba starczy na balję.

Janek.

Za mało. Moja matka ma również kupić sobie balję. Słyszałem jak mówiła dziś, że dobrej nie można dostać bez 15 złotych.

Stefek.

To jeszcze brak czterech, i skąd wziąć?

Tadzio.

Może nam dadzą na kredyt?

Janek.

Aha, zaraz, ktoby tam chciał sprzedawać balję na kredyt.

Wojtek.

Już wiem, latem nabieramy poziomek, sprzedamy je w Wilnie i będzie.

Bolek.

To będziesz miał w lecie, a balję trzeba jutro kupić.

Józio.

Ja wam coś powiem. Poprośmy naszego pana nauczyciela, żeby nam do lata pożyczył. A jak będą poziomki, — to spłacimy swój dług.

Wszyscy.

(Z radością)

Doskonale, doskonale (skacząc, klaszcząc w dłonie).

SCENA V.

Ciż i nauczyciel

(wchodzi niosąc młotek i gwoździe).

Nauczyciel.

Cóż tak was cieszy? Skąd ta radość?

Józio.

Kupujemy balję!

Wojtek.

I prosimy, żeby pan nauczyciel nam pożyczył.

Tadzio.

Bo to jutro Koziukowe święto!

Janek.

A oni są bardzo biedni! (Chłopcy mówią szybko, wszyscy jednocześnie i bardzo głośno).

Nauczyciel.

(łapiąc się za uszy).

Aj, aj, co za gwar nic nie rozumiem. Jaka balja poco i dla kogo? Kto jest biedny? Niechże jeden z was mi powie, ale spokojnie, bez hałas. Ty Antku, mów.

Antek.

To już niech lepiej mówi Stefek, on to wszystko wymyślił!

Nauczyciel.

Mówże, Stefku!

Stefek.

Proszę pana nauczyciela, jutro Kaziukowe imieniny, a że on i jego matka są bardzo biedni, więc chcemy mu kupić balję.

Nauczyciel.

Balję Kaziowi? a to po co? przecie nie będzie prał?

Stefek.

Matka jego jest praczka, i jak będzie miała własną balję, to będzie mogła zarabiać i nie będzie u nich takiej biedy.

Nauczyciel.

(wzruszony).

O, moi kochani chłopcy, to wy chcecie zrobić taki śliczny czyn? I któż was do tego zachęcił!

Stefek.

Ś-ty nasz Królówicz Kazimierz. Słucha-

jąc opowiadania o jego dobroci, postanowiliśmy to uczynić...

Józio.

I prosimy pana o pomoc, brak nam jeszcze czterech złotych; możeby pan nam pożyczył, a my, jak sprzedamy latem poziomki, to wszystko panu oddamy, co do grosza.

Nauczyciel.

Nie kochani, nie pożyczę wam, ale z chęcią dołożę; pozwólcie i mnie zrobić dobry czyniek w dzień Patrona i Opiekuna naszej ziemi. A teraz co tchu do roboty.

Bolek.

O jakże miły będzie jutrzejszy dzień.
Zasłona spada.

ODŚLONA II.

SCENA I.

Ta sama izba szkolna przybrana zielenią i chorągiewkami o barwach narodowych Na głównej ścianie obraz Ś-go Kazimierza.

Nauczyciel, Tadzio, Józio, Wojtek i Bolek.
(wszyscy odświętnie ubrani).

Tadzio.

(wyglądając przez okno).

I jeszcze tamci z balją nie przychodzą.

Józio.

Żeby się przynajmniej nie spóźnili.

Wojtek.

Toby było straszne, żeby tak Kazio pierwszy nadszedł...

Bolek.

A mówiłem, a upominałem Stefka, żeby wcześniej przyszedł. Ale to tak zawsze.

Nauczyciel.

(który przez cały ten czas pisał w zeszytach przy stole, podnosi głowę, uśmiecha się i mówi).

Cierpliwości, moi drodzy, jeszcze czas żeby się jednak wam tak nie dłużyło to czekanie, przemaszerujcie raz i drugi i zaśpiewajcie sobie.

Wojtek.

A dobrze, ale co zaśpiewamy?

Bolek.

Juści nie co innego, tylko o ptaszkach co dziś do nas wtacają.

(Ustawiają się w dwójki i maszerują śpiewając).

*) „Przez góry, przez lasy lecimy tu,
Już skrzydła pomdlały, już brak nam tchu,
Choć droga daleka,
Lecz gniazdko nas czeka,
Rodzinne gniazdeczko najmiłsze nam.

(słychać śpiew za drzwiami).

Serdeczne ptaszyny, witamy was!
Wraz z wami nastąpi wiosenny czas.
Witajcie, witajcie,
Do gniazdek wracajcie
Po trudach podróży spoczniecie tam! „

d. n.

*) Szkolny śpiewnik Chrzęszczewskiej.

EDWARD KLONIECKI

PRZYŚNIŁO SIĘ RAZ MRUCZKOWI...

<i>Przyśniło się raz Mruczkowi,</i>	<i>Lecz gdy się podstępnie skrada,</i>	<i>Tak to nieraz zbyt boleśnie</i>
<i>gdy w najlepsze spał na ławie,</i>	<i>aby schwycić myszkę młodą,</i>	<i>ukarany bywa zapał, —</i>
<i>że nie we śnie a na jawie</i>	<i>robi skok i z .. stołka spada</i>	<i>bo ktoś słyszał, żeby we śnie</i>
<i>w starym śpichrze myszy łowi.</i>	<i>do ceberka z zimną wodą!...</i>	<i>kiedy kotek myszkę złapał?!?</i>

O ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA WIERSZYK DO OBRAZKA Z № 3 „ORLĄTEK“.

Z pomiędzy kilkudziesięciu dobrych wierszyków, wybraliśmy trzy, abyście Wy ocenili, któremu z nich i dlaczego, należy przyznać pierwszą nagrodę. Ilość głosów zdecyduje o przyznaniu „albumu“.

Za najlepszą ocenę tych wierszyków, prze-

znaczamy ciekawą książkę o dalekich podróżach. Ocenę należy nadesłać najdalej do 15 czerwca.

W następnym numerze podamy nazwiska tych, którzy nadesłali wierszyki do obrazka z № 3 „Orlątek“.

„WIERSZYK DO OBRAZKA“.

*Niewiadomo, czy to z głodu,
A może nawet i z chłodu,
Umarła ptaszyna mała,
Co nam piosnki swiergotała.*

*Stary grabarz, czarny kret,
Dowiedział się o tem wnet,
Zabrał rydel, poszedł zaraz,
I ptaszynę martwą znalazł.*

*Tam zapłakał nad niebogą,
Otarł łezkę przednią nogą,
Do pracy się zaraz wziął
I wykopał piękny dół.*

Marja Szafrancówna
Uczennica Szkoły powszechnej
w Welnowcu.

O KRECIE i PTASZKU.

*Wylaź z ziemi kret poczciwy,
A ujrzawszy, że przy norze
Leży jakiś ptak nieżywy,
Zląkł się, że go kot zjeść może!*

*Więc się żwawo jął łopaty:
Szachu-machu! I czy wiecie?
Pogrzebał go bez zapłaty!...*

Bóg ci zapłać, dobry krecie!...

Jadwiga Kuśmierkiewiczówna.
Zakopane.

„NIECH KAŻDY O TEM PAMIĘTA“

napisał KAROL KORZENIOWSKI, uczeń II kl. Szkoły Wydziałowej w Ligocie obok Działoszyna.

*Razu jednego, ze swych korytarzy,
Kret wyszedł na świat Boży,
I o przechadźce milej sobie marzy,
W świetle porannej zorzy.*

*Jak miło, pięknie, słoneczko tak grzeje,
Żyć w ziemi to nie fraszka;
Gdy tak rozmyśla, do słońca się śmieje,
Spotyka na drodze ptaszka.*

*Ale o dziwo, ptaszek się nie rusza,
Nie wzlata w błękit przestworzy:
Bo leży martwy, już go nic nie wzrusza,
Swych skrzydeł nie rozłoży.*

*Stanął w zadumie nad biedną ptaszyną,
— Pogrzebie ją w tej oto trawie —
Idąc po rydel myśli nad przyczyną
Śmierci, na leśnej murawie.*

*Może zły chłopiec zabił go kamieniem,
A może przyczyna w głodzie,*

*Albo też spotkał się z jastrzębia cieniem,
Lub zmarł w porannym chłodzie.*

*Wrócił i kopie. Mogiła gotowa.
Stanął podparty, łzy roni,
Ta matka ziemia, biedaku cię schowa,
Przed wszystkim już cię uchroni.*

*Dzwonki konwalji dzwonić ci będą,
Kadzideł ślać swych wonie,
Pajęczki pałac misterny uprzedą,
Zdobiać to piękne ustronie.*

*Żegnaj mi! Odszedł. Myśl mu się ciśnie:
— Jakże to smuci i boli,
Że często krzywdę robią nam rozmyślnie,
Tylko ze zwykłej swawoli.*

*Zdarza się bowiem, że jest złe dziecię,
Co męczy biedne zwierzęta,
A takim dzieckiem brzydzą się w świecie,
Niech każdy o tem pamięta.*

Pismem kieruje Komitet redakcyjny: **Marja Reutt, T. Zubrzycka.**
Adres Redakcji i Administracji: Katowice, Wandy 41 Konto czekowe P. K. O. № 303-600.
Warunki prenumeraty „Orlątek“ z przesyłką pocztową: — półrocznie 1 zł. — rocznie 2 zł.
Numer pojedynczy 10 gr.